Rok IV. Kraków, maj 1930. Nr. 9.

ŚWIT

MIESIĘCZNIK UCZENIC PRYWAT. GIMNAZJUM
IM. H. KAPLIŃSKIEJ W KRAKOWIE.

Druga niedziela maja.

Od pierwszej chwili naszego życia czuwa nad nami kochające, zawsze troskliwe oko matki, Otacza ona najczulszą opieką dni naszej słabości i niedołęstwa, zna wszystkie potrzeby i stale o nich pamięta, jej nieustanne zabiegi ochraniają nasze pierwsze na tym świecie kroki. Bezbronne i niezaradne dziecię tylko dzięki jej miłości i poświęcenia rozwija się pomyślnie w atmosferze ciepła uczuciowego i jej usilnych starań Ona je na rękach swych piastuje, karmi i odziewa, tuli w płaczu, radzi we wszelkich potrzebach. Od niej uczy się dziecię wymawiać pierwsze wyrazy, pod jej czujnem okiem stawia swe piersze, nieudolne kroki. Gdy zdumione i oszołomione rozmaitością i bogactwem wrażeń świata zewnętrznego, poznaje, obserwuje i porównywa, gromadzi wrażenia i uczy się myśleć, towarzyszy mu na tej trudnej może ale jakże cudownej, pełnej niespodzianych odkryć i spostrzeżeń drodze jej słodki uśmiechu, wejrzenie pełne miłości, a jednocześnie baczne nieustanne, by dziecię nie zrobiło sobie szkody jakimś niewłaściwym ruchem czy krokiem.

A tyle niebezpieczeństw czyhana nieobeznane z właściwościami otaczających przedmiotów dziecko!

Nieskończoną ilość razy opiekuńcza dłoń matki zapobiega w porę jakiemuś nieszczęśliwemu potknięciu, upadkowi czy okaleczeniu, któreby w przeciwnym razie smutne lub zgoła fatalne mogły mieć następstwa.

Czy może być smutniejsza dola, niż dziecka, pozbawionego opieki matczynej? żałosna po stokroć jest dola sieroty!

Serce matki miłuje najgoręcej i najbezwzględniej oddane jest swemu dziecku. Niema trudu, niema poświęcenia, do którego nie byłaby zdolną, gdy chodzi o jego zdrowie i pomyślność. Dla uratowania go od zguby życie swe złoży w ofierze bez wahania. A oddając wszystko, niczego w zamian nie żąda: szczęście dziecka jest jej szczęściem, jego uciecha jej radością; gdy widzi je zdrowem i zadowolonem niczego nie prągnie więcej.

Wychowanie i żywy przykład rozumnej matki wielkich dokonywują rzeczy: jej wpływ na urabianie charakterów jest ze wszystkich najsilniejszy. Ludzie niepospolici matkom swym zawsze dużo zawdzięczają.

„Rodzina stanowi człowieka“—można ją uważać za najbardziej wpływową szkołę cywilizacji.

A duszą rodziny jest wszakże matka.

Ale wszystkie matki, nawet te najmniej wykształcone i najbiedniejsze mają w swych sercach skarby miłości najmocniejszej, której promienie ogarniają wszystkich ludzi, ogrzewają; wzbudzają wszelkie uczucia, dodatnie, życzliwości, dobroci współczucia, zdolności do ofiar i wyrzeczeń, Miłość matki jest niespożyta i niezmożona—kocha ona zarówno dobre, jak i złe dziecię, na wdzięczność swą nie ogląda i nie żąda zapłaty. Jest też w niej moc wielka, której nic nie zwycięży, nie obali. Wspomnienie tej miłości przyświeca człowiekowi przez całe życie: nieraz wśród ciemnej nocy zniechęcenia i rozpaczy staje się jasnym płomieniem, który rozprasza mroki i na nowo serce zagrzewa do walki w imię tego co dobre i czyste.

Pamięć o matce krzepi znużonego życiem pracownika, jest słodką pociechą dla samotnego, złego odwodzi od zbrodni. Jej postać świetlana żyje w sercu każdego, choćby moralnie upadłego człowieka i jest ten, co ma on w duszy najlepszego i najjaśniejszego.

Miłość macierzyńska jest jakby widomą opatrznością ludzkiego rodzaju. Wpływ jej jest ciągły i powszechny, zaczyna się z chwilą przyjścia na świat, a przedłuża się poprzez ciąg całego życia silny tem potężnem wrażeniem, jakie matka wyciska na dziecku.

Kiedy już dorosłe, bierze udział w pracach, troskach i dążeniach świata, do niej się zwraca po radę i otuchę. Czyste i dobre myśli w dzieciństwie zaszczepione przez nią, długo nawet po jej śmierci rozrastają się w czyny; jej pamięć dzieci zawsze błogosławić będą.

W uznaniu wielkiego znaczenia cichego, codziennego trudu matki, jej zasług ogromnych a nienagrodzonych, w poczuciu gorącej wdzięczności za miłość jej i poświęcenie, postanowiła ludność Stanów Zjednoczonych, a za jej przykładem i licznych krajów europejskich, jeden dzień w roku, drugą niedzielę maja nazwać „Dniem Matki." W dniu tym wszystkie dzieci i całe społeczeństwo mają się zjednoczyć w hołdzie składanym matkom. W każdej rodzinie i zbiorowo w szkołach i instytucjach mają być w dniu tym uczczone słowem i pieśnią, obdarowane kwieciem; ogół ludzkości jednoczy się w okazaniu swego uwielbienia i wdzięczności kobiecie—matce.

M. Czubryńska kl. VII.

Już nadszedł kochany maj.

Jest maj. Nadszedł ten miesiąc, najpiękniejszy z miesiąców wiosny, w którym wszystko budzi się do życia. Drzewa zazieleniły się, kwiaty odzyskały dawną swoją barwę, ptaki radośnie świerkają. Do najmilszych chwil w maju należą nabożeństwa ku czci Najświętszej Panny, tej najlepszej Matki naszej, której słusznie ten cudny miesiąc poświęcony został.

A na wsi! Jak tam rozkosznie! Tu dopiero widzi się w całej pełni jak cudna jest przyroda. Tu też co kilkanaście kroków spotyka się małe kapliczki, umajone polnem kwieciem, a przed kapliczką klęczą wieczorem w barwne stroje odziane dziewczęta i śpiewają pobożne pieśni.

Cudny jest wieczór majowy; gdy ucicha gwar dzienny i gdy wszystko kładzie się do spoczynku, jest tak cicho, tylko czasem wiatr zaszeleści między drzewami i komar bzyknie. I tak jest ślicznie, że chce się uklęknąć i dziękować Stwórcy za tę piękną swojską przyrodę i za ten cudny miesiąc maj.

Krzysia Lewicka kl. II.

Do Matki.

Lubię wieczorem do
[Matki dłoni
Głowę przytulić i mó-
[wić szczerze,
Jakie mi w sercu czu-
[cie zadzwoni,
Lub czemu smutek za
[serce bierze.
A Matka wtedy w dro-
[gie swe ręce
Głowę mą bierze, i ża-
[łość tuli
I koją rzewne smutki
[dziecięce
Drogie kochane ręce
Matuli.

Entuzjastka kl. VII.



Skowrończe gniazdo.

W wiosenny, bezsłoneczny dzień
Ścieżyną hen, śród zboża
Pomiędzy jasną zieleń niw
W świat Matka wyszła Boża.

I w szafirową idzie w dal
Otwiera wielkie oczy,
Lecz dziw, że jakiś wielki żal
I smutek serce mroczy.

Jakieś przeczucie za nią w ślad
Podąża niestrudzenie,
Zaciemnia jasny cichy dzień,
Na ziemię kładąc cienie.

A Matka boska idzie... Wtem
Spostrzega tuż, przy drodze
Uwite gniazdko, w którem się
Skowronki trzepią w trwodze.

Więc patrzy w górę... Zamarł dech...
Olbrzymi jastrząb leci,
Małe skowronki zabić chce,
Odebrać matce dzieci...

Wielką litością zdjęta, w dłoń
Ująwszy szaty białe
Przed drapieżnikiem chronić chcąc
Zakrywa gniazdko całe...

A ze skowrończych, małych serc
Wdzięcznych za ocalenie
Modlitwa w jasną płynie dal
Skąd dawne zeszły cienie,

I gdzie wraz z pieśnią słońce znów
Po nieboskłonie kroczy...
A Matki Boskiej w siwą dal
Z uśmiechem patrzą oczy.

Serduszko 1928.

Ptaki drapieżne.

Powszechnie utrzymuje się mniemanie, że każdy ptak drapieżny powinien być tępiony. Jednakże większość tych ptaków przynosi człowiekowi znaczny pożytek, a bardzo mała ilość wyrządza mu szkodę.

Do owych ptaków tępionych nieracjonalnie należy przedewszystkiem „Myszołów", który żywi się drobnemi gryzoniami przez co oddaje pożytek rolnictwu. Ptakiem pożytecznym jest również Myszołów włochaty, zwany także Kosmaczem północnym, jakkolwiek chwyta on niekiedy kuropatwy. Kobuz pozbawia nas szkodliwych owadów, a pokrewny mu Drzemlik, przebywający u nas w zimie, nie zasługuje stanowczo na potępienie. W lecie łatwo spotkać możemy bronzowo upierzoną Onstułkę, której za pokarm służą żaby i myszy; temsamem zasługuje ona na bezwzględną ochronę.

Z czterech gatunków orłów, Orlik i Orlik grubodzioby jako ptaki słabe i żywiące się płazami uważane są za pożyteczne, zaś Orzeł przedni, jakkolwiek wielki szkodnik nie powinien być tępiony, ze względu na swą rzadkość. Nie należy również zabijać sów z wyjątkiem puhacza i dwu gatunków puszczyka.

Do ptaków, które śmiało można tępić należy Jastrząb - gołębiarz, prawdziwa plaga kurników. Równie niepożądanym jest zwinny Krogulec, a Rybołów należący do rodziny Orłowatych, może wyrządzić duże szkody w gospodarstwach rybnych.

Ptakiem nawpół pożytecznym a nawpół szkodliwym jest Błotniak stawowy. Oddaje on pewne przysługi, tępiąc wodne ptactwo, które się żywi narybkiem, lecz jednocześnie jest wrogiem myśliwego.

Zasadniczo mamy trzy sposoby tępienia ptaków drapieżnych: polowanie w upatrzonem miejscu, które ma tą zaletę, że wie się do czego

się strzela i nie zabija się ptaków pożytecznych. Niedorzecznością i okrucieństwem jest łapanie ptaków w żelaza. Trzeci sposób to zatruta przynęta. Jednakże najczęściej łapią się na nią psy, koty i wrony, a nie największe szkodniki.

Widzimy więc, że jedynie godnym sposobem tępienia jest polowanie i to prowadzone przez ludzi, znających się na rzeczy. Wprawdzie w ten sposób najmniej ginie ptaków, to jednak pamiętajmy, że nigdy nie czynią one takich szkòd, którychbyśmy nie mogli sobie powetować ochroną zwierzyny.

Z. Krzyżańska kl. V.

On... gazda.

W zimną wietrzną noc... noc górską, kiedy do uszu dochodzi tylko potężny szum drzew, kiedy wiatr wdziera się w poszycie boru, chce go poderwać, unieść na swych barach, zszarpać korzenie wpite tysiącem ramion w skalistą opokę, a las stęka, smreki szumią odpornie... głucho, jakby namawiały się do wspólnej obrony przeciw intruzowi, tłumią wiatr sobą, duszą. Zmorzony uwalnia się świstem z pomiędzy gałęzi, a kiedy czubki drzew zostawi za sobą, piekielnem radosnem gwizdaniem chichocze swobodny, pędzi... rwie... tu o skraj lasu zahaczy, regiel naraz ogołoci, z trzaskiem i łkaniem padają smreki... ... Cisza... On poszedł już dalej... pędzi oszalały, aż z wyciem o turnię uderzy... wdziera się w każdą najdrobniejszą szparkę, o każdy wyskok skały, każdy gzyms zawadzi, próbuje wokół... szarpie... targa... aż już zmorzony, bezsilny opada i znika znowu w poszyciu gęstwiny. .

W taką noc wichru Franek od Walkoszów i Wojtek Sitarz w szałasie, ledwo od wiatru chroniącym, leżeli wpatrzeni w iskry goniące się wzajemnie, strzelające z ogniska rakiety, zostawiające po sobie świetlane, złoto rozpalone, wężowate nieraz smugi, leżeli wsłuchując się w gwizd halnego gazdy: wiatru—

Zapadali powoli w pólsenną martwotę, ukołysani jednostajnością szumu i skrzypem wiążb szałasu.

Franek, czując dojmujący chłód, poprawia bezwiednie szczapy drzewa, rzuca je na dogasające ognisko i znów wpada w poprzedn

półmartwy stan—w półmartwy a jednak czujny. Zmysły nastawione w jednym wyłącznie kierunku, budzą go, stwarzając same ten właśnie oczekiwany przez niego przedmiot, czy jego szmer...

Pies warknął,... Franek zerwał się, usiadł, pociągnął Wojtka za rękaw koszuli—Wojtek! —szepnął.

—Co fces?—mamrocze jeszcze zaspany Wojtek.
—Przyseł—
—Fto?—
—Ón—gwarzy z tajemniczym, pełnym powagi wyrazem twarzy. Wrażenie wypowiedzianego słowa odbiło się w oprzytomniałych naraz oczach Wojtka, jednak pełen niedowierzania uspakaja Franka:

—Eee...—widzi ci się ino!—Tela nocy pilnowaliśwa a nie przyseł ani razu: psydzie jak nos nie bedzie w sałasie—haj—

—Śpij! to ci się przezdało.—
Raptem i Wojtek nastawił ucha: pies znowu zawarczał, wydał posępny wywołujący ciarki na grzbiecie skowyt, który przeszedł powoli i jakby w kwilenie... w prośbę.

—E! cosi haw je psy tym psie—rzecze Franek. Osmoloną, krzepką ręką chwyta palącą głowień z watry, w drugiej, siłą dwudziestosiedmioletniego juhasa, ściska wyostrzoną ciupagę i uchylając jak najskrzypiące drzwi szałasu, wychodzi na polanę.

Wojtek porwał się za nim.

Na polanie cisza... Owce skupione leżą w rogu koszaru, zdziwione i spłoszone zbliżającem się zarzewiem, zrywają się, sprawiając przerażający w nocnej ciszy, choć harmonijny turkot dzwonków, odbijający się aż echem o wiekowy bór i pobliskie nieprzytulne, gołe turnie.—

—Znowu cisza.—Pies z radością szarpie łańcuch. Franek pogłaskał go, jakby chciał weń wlać trochę otuchy w tę wichrową noc i zabrawszy Wojtka wrócił do watry; rzucił w nią z przekleństwem płonące polano.

—Djabli nadali, haj nadali, kie sìe nie fce pokazać!—

Podsycili ognisko. Franek z ręką opartą na ciupadze, rozmyśla. Znów zapada cisza... Wojtek zapatrzył się bezmyślnie w watrę...

...Kładzie się znów senny, ogrzewany wzmorzonym płomieniem ognia. Znów słychać tylko poszum słabnącego wichru, który ostatkiem

sił swych jeszcze na krokwiach żałośnie skrzypi; pcha dym z powrotem do szałasu i łzawi nim nawet przywykłe oczy juhasów.

Franek przymknął oczy i myśli swe niewesołe utopił w przeszłości niedalekiej. Wspomniał pierwsze spotkanie z „Nim", kiedy utracił swego towarzysza od serca Staszka z Miętusiej, musiał zostawić go pod upłazem przy Wańcie i... hań skonał...

—Ej! Stasiu! Stasiu! pomsce jo cie jesce, pomsce... Potem kiedy psy w nocy narobiły hałasu, kiedy wypadł na polanę, dwa z nich leżały rozdarte, uwiązane do ostatka—do ostatka niewolne na swych łańcuchach... a w oddali spostrzegł ciemną bryłę oddalającą się szybko i zwinnie w stronę milczącego boru i wtedy... poprzysiągł... zgrzytnął zębami, ścisnął pięść kurczowo—zdawało się, że w rękach zemnie, że na proch zetrze... z ust wydobywało się tylko:

—Ckoj! Spotkomy sie!... I czekał... Tyle nocy już minęło, tyle nadzieji, zerwań ze snu. Ileż razy we śnie zmagał się z „NIM" uskakiwał przed jego otwartym pyskiem i wiszącemi nad jego głową pazurami... czuł nieraz jego ciepły oddech na swej twarzy... walił... bił pięścią w błyszczące, zielono-zgniłe, złe ślepia, aż ten rozwścieklony, chwyta zębami rękę i... krrach! —krzyk... ból.

Franek budzi się osłupiały: ręka poparzona, wetknął ją w żar węgli.

Tak upływały dni...

Dziś też czatuje, uszy w ustawicznym naprężeniu, dochodzą do nich nigdy przedtem niesłyszane głosy, jakieś dźwięki... dzwonienia... raz odległe... dalekie, czasem tuż—tuż przy nim; słyszy swe własne tętno—rozsadza mu głowę.

—Znowu nie psyjdzie... mówi zawiedziony Franek.-

C. d. n.

F. Pawłowska kl. VIII.

Kościół Marjacki.

W smukłe gotyckie łuki wiązane sklepieni.
Jest jak słowo strzelistych, prostych aktów
[wiary.
Z kolorowych witraży to światła, to cienie
Sączą się w główną nawę i na ołtarz stary

Cicho legły na drzewach chorągwiane chusty
Malowane purpurą, haftami i złotem.
Kościół zda się milczący i senny i pusty,
A jednak drżący jakichś wielkich duchów
[lotem.

Przecież tu ongiś dawno mistrza wita ręce
Kończyły swoje cudne miłowane dzieło—
I kwiecie czystych natchnień w gorącej
podzięce.
U stóp Najświętrzej Pani rozkwitać poczęło.

Może tutaj surowym, Matejkowskim oczom
Jakoweś wielkie cienie wśród łuków się słały
A słońce, paląc tęcze szyk barwnych prze-
zroczom
Wlewało życie w lud on grunwaldowej
chwały.

Niejedna pieśń błagalna wzbiła się pod stro-
py
Niejednych westchnień echa skonały tu
głuche,
Niejednego wędrowca umęczone stopy
Przyszły tu, by moc czerpać i wzbudzić
otuchę.

Niejednych szabel jasne zaświeciły stale
I poświęcenie brały w pradziadów świątyni;
Niejeden bunt niewolnych tu zwał się zu-
chwale,
Bunt co śmiercią się kończy, albo cuda
czyni.
Cisza.. z witraży płyną szafiry i złoto,
Słonecznych blasków struga pali się jak
żywa;
A duch ludzki co kędyś w dal leciał z tęs-
knotą,
Złożył skrzydła, ukoił ból—i odpoczywa....

M. M. 1912.

„Słonki“.

Kończył się jeden z tych prześlicznych dni wiosennych, których czar nie da się porównać z pięknością żadnej pory roku.

Słońce czerwieniło się wspaniałem półkolem i rzucało złote blaski na drzewa. Cały las drżał od świergotu ruchliwego ptactwa i tętniał życiem istot dla oka ludzkiego niewidzialnych. Myśliwi stali na stanowiskach, w milczeniu i wielkiem skupieniu. „Polowanie na słonki“—wszak to dla wytrawnego i wiekiem posiwiałego myśliwego przyjemność niemała. Ta drobna, lecz dziwnie piękna ptaszyna jest przedmiotem szczególnego wyróżnienia Budzi ona w duszy łowcy tyle uroku i powabnych wrażeń, że okres ciągów można nazwać „myśliwską poezją“.

Strzał do słonki jest jednak bardzo trudny. Słabe oświetlenie, do jakiego nie jest się przyzwyczajonym, a przez to fałszywe ocenianie odległości, silne bicie serca i drżenie rąk z emocji sprawiają, że dużo na szczęście dla ptaka, jest strzałów chybionych.

Gwar leśny wzmaga się to znów opada, ptaki nawołują się różnemi głosami. Czasem przeleci nad głową ogromny jastrząb, zatrzepocze czarnemi jak noc skrzydłami i zniknie.

Myśliwi wsłuchują się z zachwytem w te głosy wiosenne, ale tak długo wyczekiwanego ćwirkania, które da się łatwo odróżnić od całej czeredy wrzaskliwego świata leśnego, ciągle nie słychać. Czekający zaczynają się niecierpliwić, tu i ówdzie odzywają się ciche szepty, które dziwnie odbijają od ptaszych głosów. Słońce powoli zapada. Jeszcze trochę złocą się szare konary drzew, a chłodny lekki wiatr potrząsa gałęźmi, wywołując cichy miły dla ucha szmer.

Czasem coś się poruszy, zaszeleści zeschłemi liśćmi, pokręci się niespokojnie i po chwili znów to samo, znów ten upajający zapach rozkwitłych łozin, rozmiękłej ziemi, budzącej się do życia natury.

Naraz drgnęli łowcy, serca im silniej zabiły, ścisnęli mocniej strzelby w ręku. W lesie zadźwięczał ów ton głęboki, chrapiący, owo stłumione „kor—kor„. Na jasnem jeszcze tle nieba pokazał się ciemny punkt i zbliżał się cichym, bezszelestnym lotem.

Padł strzał. Śrut bzyknął ptakowi koło dzioba i poleciał gdzieś w nieskończoną dal. A słonka nietknięta, pomknęła, cicho poświstu-

jąc, ku północy, bo tam mieszkają, inni dobrzy ludzie, którzy bezbronnemu i niewinnemu ptakowi nie wyrządza krzywdy.

Tam mogą słonki żyć, spokojnie i szczęśliwie.

Irena Spławska kl. VII.

Wycieczka do Częstochowy.

Żadne pióro nie wypowie,
Jak to było w Częstochowie.
Ile pisku, ile krzyku
W naszym miłym wagoniku.
Chustki z okien powiewają,
Krzyki jeszcze się wzmagają,
(O ile było w możności
Więcej wrzeszczeć z tej radości).
Wreszcie stacja znikła w dali...
Grad tobołków w dół się wali,
A na półki, w miejsce teczek,
Sunie lubych tłum dziewczek.
Choć niektóre twierdzą hardo,
Że na półkach jest za twardo,
Lecz wam powiem to do uszka,
Że, gdy niema blisko łóżka,
To każda—w ostateczności
I na półce złoży kości,
I zasypia smacznie w górze,
Śniąc—o bliskiej już—maturze...

Tak miłą była ta nasza ostatnia wycieczka szkolna! Taki panował pogodny, serdeczny nastrój! Przyjechałyśmy do Częstochowy o godz. 4 rano. Tu powstało małe zamieszanie. Niektóre bowiem koleżanki, zmęczone dokazywaniem, usnęły dopiero nad ranem i obudzono je zbyt późno, tj. w chwili, gdy pociąg miał już ruszać w dalszą drogę. Zaczęto więc wyrzucać czapki, teczki i ich właścicielki w tak przyspieszonem tempie, że tylko jeden pasek od płaszcza pojechał do stolicy.

Przez uśpione miasto wędrowałyśmy na Jasną Górę, a potem czekałyśmy na otwarcie kościoła. Przed bramą zebrało się dużo kobiet i wieśniaków i całe towarzystwo bardzo jękliwie śpiewało różne

pieśni. Pomimo, że rozdzierali nam uszy tym śpiewem, żadna się nawet nie uśmiechnęła, gdyż wszystkie byłyśmy przejęte wielką chwilą która się zbliżała. Wiedziałyśmy, że niedługo ujrzymy obraz Cudownej Matki Bożej, która tak samo słucha i rozumie nieudolne modlitwy prostaków, jak i nasze uczniowskie prośby. Czułyśmy, że dla Niej, tak jak dla Matki, są drogie zarówno te dzieci, które się ledwie mówić nauczyły i coś Jej tam po swojemu gaworzą, jak i te większe dzieci, które umieją mówić ładnie i pięknie śpiewać na Jej chwałę. I może z uśmiechem wzruszenia słuchała Matka Najświętsza, przywykła do Anielskich chórów Serafinów, tych biednych jękliwych pieśni ubogiego, szarego ludu...

Gdy wpuszczono nas na dziedziniec, obchodziłyśmy mury, dziwiąc się ich stromości i wysokości. Przechodząc koło furtki ukrytej w murze, wspominałyśmy imć pana Kmicica, kiedy to pod przybranem nazwiskiem walczył w obronie Jasnej Góry i może tą właśnie furtką wymknął się w ciemną noc, by rozsadzić największą kolubrynę szwedzką... Cała Jasna Góra opasana jest kamienną strażą figur Pana Jezusa, przedstawiających Jego mękę i drogę na Golgotę. Stacje te, dzieło rzeźbiarza Piusa Welońskiego, zachwyciły nas swoim artyzmem i wyrazistością scen.

Kiedy nadeszła pora otwierania kaplicy, przyszłyśmy do kościoła i czekałyśmy w skupieniu, rychło nam, jak niegdyś Kmicicowi nawróconemu grzesznikowi, ukaże się oblicze Najświętsze.. A kiedy zasłona zaczęła się zwolna unosić, zabrzmiała cudowna muzyka i nasze serca zadrżały pieśnią.—Czyż można opisywać najgłębsze odcienie uczuć, najrzewniejsze myśli ludzkich dusz? Ukazała się nam Ta, która jest naszą Matką, Ta, która nigdy się nie zapomina i kocha zawsze i przebacza. Ukazała się nam jak objawienie, jak żywa postać matczyna, pełna niewysłowionego czaru i miłości, jasna droga i łaskawa, Królowa Korony polskiej i ludzkich serc.

Po Komunji Św. udałyśmy się do pobliskiej restauracji na śniadanie. Pełen entuzjazmu nastrój, wyniesiony z mrocznego, jasnogórskiego kościoła, ustąpił miejsca beztroskiej radości i szczerym zachwytom nad wilczkiem - głodomorem. Biedna psina wylazła z jakiegoś kąta i podejrzliwie, chyłkiem skradała się między stołami, czekając czy jej jaki kąsek nie spadnie. Po śniadaniu poszłyśmy do kościoła Św. Barbary, z którym wiąże się znana legenda o obrazie Matki Boskiej, zbeszczeszczonym przez rozbójników. Obok kościoła znajduje się studnia ze „świętą wodą", która miała wytrysnąć w miejscu świętokradztwa i cudu. Ponieważ woda ta ma posiadać własność

leczenia wszystkich chorób, więc naturalnie każda z nas musiała się w nią zaopatrzyć. W drodze powrotnej obładowałyśmy się podarunkami, nabytemi (po długich targach) w niezliczonych kramach z „pamiątkami". Ciężyły nam one mocno w czasie wdrapywania się na wieżę klasztorną; Zdawało się nam, że ta wędrówka nigdy chyba nie będzie miała końca (potem dopiero dowiedziałyśmy się, że schody mają 530 stopni). Co jakiś czas napotykałyśmy na małe ganeczki, z których można było wyjrzeć na świat boży. Lecz my biegłyśmy jaknajprędzej ciekawe widoku ze szczytu wieży. Nareszcie!.. Z ciemnych otchłani klatki schodowej wyszedłszy, stanęłyśmy, patrząc w zachwycie na zalany potokami słońca bezmiar nieba, na szachownicę łąk, na jaskrawe plamy domków i białe, równe drogi, uciekające hen —w nieskończoną błękitną jasność. Byłyśmy zachwycone. Niektóre wyraziły chęć pozostania na Jasnej Górze przez całe życie, lecz to powiedzenie było bardzo naiwne: któżby bowiem zdawał za nie maturę? a przecież o pomoc w egzaminach jechałyśmy się modlić do Matki Najświętszej!

C. d. n.

Kronika.

Miesiąc maj, jak owa wiosna 1812 r., jest bardzo obfity w zdarzenia w życiu szkolnem. Rozpoczyna go wielkie święto narodowe, rocznica Konstytucji 3go Maja. W dniu tym, jak co roku stanowiliśmy część pochodu, udającego się na Błonia, mszę polową. I jak co roku z wzruszeniem oglądałyśmy tonącą w słońcu panoramę miasta, lekko zamglony Kopiec Kościuszki i chylące się w pokorze przed Najświętrzym Sakramentem sztandary, wśród których najpiękniejszym jest naturalnie—nasz własny sztandar!

W dwa dni później rozpoczęła się matura piśmienna, trwająca od poniedziałku do piątku. Zdenerwowanie i podniecenie ósmaczek i nam się udzieliło, z wielką też radością stwierdziłyśmy nazajutz, że nasze abiturjentki mają wesołe miny. Widać, że tematy były nietrudne i powiodło się im dobrze.

Piśmienna matura opóźniła szkolne uroczystości 3cio majowe. Połączono je więc ze „Świętem Matki". Dnia 11. czerwca wystąpiłyśmy po raz pierwszy poza murami szkoły, w sali Kongregacji Pań na pla-

cu Jabłonowskich. I co powiecie mimo wielkiej tremy, mimo, że artystki nasze nigdy jeszcze nie występowały przed takiemi tłumami gości, przedstawienie odbyło się doskonale. Mandolinistki zdobywają coraz większe powodzenie świetnie wygłoszone przemówienie kol. Stockiej zyskało ogólne uznanie, a ciągłe oklaski towarzyszły krajoznawczej sztuczce: „Fartuszek Marysi". Część druga była hołdem, złożonym naszym kochanym Mamusiom. Po milutkiem przemówieniu kol. Bogackiej i pięknej deklamacji kol. Guzikówny, na salę wjechał kosz kwiatów i w kilka chwil potem wszystkie Mamusie obdarowane bukietami bzu i narcyzów przyjmowały nasze gorące podziękowania i pocałunki. By od łez wzruszenia przyjść do wesołego nastroju odegrano pocieszną komedyjkę, która wywołała salwy śmiechu. Goście zadowoleni opuszczali salę przy dźwiękach mandolinowej piosenki „Czas do domu, czas". Młodziutkie aktorki triumfowały. Nietylko bowiem obchód udał się znakomicie, ale nadto Panie z Kongregacji prosiły o powtórzenie przedstawienia na rzecz Rodziny Sierocej. Zaszczyt był niemały: ogłoszono nas w gazetach i „nadano" w radju, to też artystki starały się wywiązać jaknajlepiej z zadania. I znowu przed pełną salą zawirowały pary Krakowiaków, Łowiczan, Kujawiaków, Hucułów, Górali i Ślązaków, znowu w wspólnym, hucznym mazurze zajaśniała cała krasa bajecznie kolorowych strojów ludowych i zabrzmiał śpiew:

„Piękna nasza Polska cała"...., aż tu nagle., katastrofa. Artystki z taką energją i temperamentem wykonywały „figurynkę", że spowodowały zawalenie się jednej z dekoracj. Dobre dusze pospieszyły z pomocą w tej krytycznej sytuacji, a że i miłe kwiatki: Malwa, bratki i stokrotki, trzymane w rysach przez energicznego Słonecznika, zachowały się z godnością, mazur popłynął dalej, a zabawny wypadek podniecił tylko entuzjazm publiczności Z bardzo miłego podziękowania dowiedziałyśmy się, że przedstawienie przyniosło 150 zł. dochodu. Jak błogo! to nie pieniądze wyciągnięte z kieszeni Tatusiowi czy Mamusi, to suma zarobiona dla sierotek naszą własną pracą!!

Od kilku tygodni klasa VI miewa dni wolności. Są to dni, w których zamiast matematyki, fizyki czy historji słucha wykładów o Obronie przeciwgazowej. Po miesiącu tajemniczych przygotowań na korytarzach, schodach i w klasach zjawiły się dziwne postacie, szczękające puszkami i noszące na głowie, coś w rodzaju ryjka. Ryjki te wsuwały się do klas nawet, wywołując swem ukazaniem się wesołe okrzyki i miłe zamięszanie. Senzacja była ogromna, ale zadrość nasza wzrastała: dlaczego one a nie my? Klasy niższe uspokoiły się powo-

li na wieść, że co roku klasa VI kształcić się będzie w sztuce zakładania masek, ale klasa VII była niepocieszona. Utworzył się nawet demostracyjny pochód, który krzyczał: „My chcemy masek“.—Wprawdzie ktoś złośliwy zauważył, że siódmaczki chciałyby mieć „gazy“ na matematyce i niemieckim, lecz one orzekły bohatersko, że i popołudniu przyszłyby na wykłady. Nie wiemy dobrze jak się tu sprawa skończyła.—Szóstaczki zaś, dumne ze swej mądrości, defilowały w pochodzie L.O.P.P. po ulicah miasta. Usłyszały wprawdzie różne epitety jak: krokodyle z garnuszkami słoniątka, wojsko w spódnicach, nowa gwardja i tp , lecz w nagrodę zostały sfotografowane, a nawet sfilmowane!

Zbliża się czerwiec, zbliża się matura, lecz zbliża się także okres wycieczek, a w oddali nadciągają... wakacje!

Więc cieszmy się, cieszmy, cieszmy!!

Promień, Stańczyk kl. II. i Spółka.



Nakładem uczenic Gimnazjum im. H. Kaplińskiej w Krakowie.

Red. odpow. Jadwiga Brodowiczówna.

Drukarnia D. Fadena, Myślenice. — Telef. 20.